

Słowo kryzys jest wszechobecne. Brzmi groźnie i fatalnie się kojarzy.

Bezrobocie, spadek dochodów i produkcji, krach na giełdach to najczęstsze skojarzenia z kryzysem. Pytania o to jak będzie głęboki i jak długo potrwa wydają się zasadnicze i na tyle trudne, że brak chętnych na odpowiedzi.

Nie jest to typowy kryzys wynikający z cyklu koniunkturalnego (faza nadprodukcji).

Jego genezą była nieodpowiedzialność bankowców i nieodpowiedzialność instytucji kontrolujących.

Nadęty balon „łatwego kredytu” pękł z hukiem doprowadzając do załamania kredytowania tak inwestycyjnego jak detalicznego.

Olbrzymi deficyt pieniądza na rynku wymusił bezprecedensowe pompowanie społecznych (państwowych – czyli pochodzących z podatków lub z zadłużania się państwa) do banków i całych sektorów gospodarki. Środki te mają pomóc przywrócić obieg pieniądza w gospodarce.

Krach bankowości inwestycyjnej powoduje niemożność normalnego działania firm z jednej strony, z drugiej zaś prowadzi do załamania popytu indywidualnego. Wydaje się, że powoli z chaosu pomysłów nie zawsze dobrze przemyślanych, przebija się na powierzchnię myśl, aby podjąć działania pro popytowe.

Jakiż to arsenał środków można brać pod rozwagę aby ożywić popyt? Obniżka podatków czy kosztu kredytu, wzrost deficytu, być może okresowe podniesienie składki zdrowotnej, obniżenie poziomu wymagalnych rezerw w bankach, ale również zwiększanie tam gdzie można wynagrodzeń. W Polsce przy obecnej sytuacji budżetu państwa obniżanie podatków nie wchodzi w rachubę, pozostaje obniżka rezerw i podniesienie płac w firmach, które na to stać.

Wydaje się, że jedną z branż, które na to stać, jest energetyka.

Niestety póki co kryzys próbuje się wykorzystać do dokonania niekorzystnych dla pracobiorców zmian w kodeksie pracy, obniżenia płac czy wydłużania czasu pracy.

Koszty kryzysu w postaci rosnącego bezrobocia i pogłębiającej się nędzy mają ponieść nie jego twórcy, tylko jak zawsze zwykli ludzie.